

## **Zatrute związki**

Ostatnia rewelacja z „Biuletynu IPN” o tym, że Czesław Kiszczak jako kapitan Informacji Wojskowej zwerbował do tej tajnej służby założonej przez sowietów podpułkownika Wojciecha Jaruzelskiego, zainteresowała media o tyle na ile „przypadkowo” zbiegła się ona z głosowaniem w sejmie nowelizacji ustawy o IPN. Wciąż ktoś, coś, hamuje możliwość ujawnienia społeczeństwu haniebną rolę jaką odegrał Jaruzelski w historii PRL-u. Informacja ta ma dla mnie także pewien walor dowodowy. Potwierdza mianowicie, że w tajnych strukturach państwa komunistycznego nie ten był najważniejszy, kto miał wyższy stopień wojskowy czy sprawował najwyższą funkcję w aparacie partyjnym czy państwowym. Ważniejszym był ten, kto miał wyższą funkcję w strukturach tajnych. Cały system komunistyczny zbudowany był z instytucji atrapy, takich jak Sejm, Rada Państwa, różne plena komitetów, ministerstwa, itd., ale faktyczna władza skupiała się w rękach tajnych służb, których prawdziwy charakter znany był tylko nielicznym wtajemniczonym. System komunistyczny był największą na świecie organizacją mafijną. W pierwszych latach po wojnie, funkcje szefów esbeckich wydziałów sprawowali Polacy, ale ich zastępcami byli bardzo często Żydzi, i to oni sprawowali faktyczną władzę. Czy chodziło tylko o to, by oddalić antysemickie skojarzenia, które mogłyby utrudnić pracę, czy raczej o stworzenie alibi, by ewentualną odpowiedzialność za zbrodnie ponosili nie ci, którzy z tylnego rzędu wydawali

polecenia, ale ci, którzy je oficjalnie firmowali. I żeby była jasność, z historycznego punktu widzenia ten zabieg w niczym nie zmniejsza odpowiedzialności tych szefów SB, którzy byli ulegli wobec swoich podwładnych, a równocześnie przełożonych. Podobne obserwacje miałem, pracując w publicznych mediach, krótko przed stanem wojennym i w późniejszych latach. Oficjalnie nominowani redaktorzy naczelni, odwiedzani byli przez tajemniczych panów redaktorów, których faktyczne funkcje i podstawowe miejsce pracy musiały być im znane i to oni wydawali polecenia swoim nominalnym szefom. W czasach pierwszej „Solidarności”, kiedy atmosfera tzw. „festiwalu” dodawała jeszcze ludziom odwagi, można było się dowiedzieć, kto z „zasłużonych” dziennikarzy nosi nadal broń służbową, z jakiego resortu przyszedł do radia i jaką faktycznie pełni w nim funkcję. Zresztą paru tych dawnych „zasłużonych” ludzi można od niedawna obserwować w publicznych mediach. Po wprowadzeniu stanu wojennego część tych „redaktorów” ujawniła się czynnie na antenie radiowej w roli felietonistów i komentatorów atakujących zaciekle „Solidarność”. Szefem radiowej „trójki” w latach 80. był red. Wiktor Legowicz, ale rządził radiem i wydawał polecenia jego zastępca, znacznie od niego młodszy red. Sławomir Zieliński. Choć obaj byli partyjni, redaktor naczelny słuchał swojego zastępcy, a pracownicy doskonale się orientowali, kto tu jest ważniejszy.

Takie też nasunęły mi się refleksje po ujawnieniu dokumentów na temat wieloletniej współpracy Kiszczaka z Jaruzelskim, którą cechowało swoiste połączenie związków natury służbowej i zawodowej z osobistym zaufaniem, a jak się dziś dowiadujemy od samego generała, nawet przyjaźnią.

Jedną z cech III RP jest właśnie obrona tych szczególnych więzi, jakie wytworzyły się jeszcze w czasach PRL-u między ówczesną władzą i częścią zaakceptowanej przez władzę opozycji. Symbolem tego zjawiska stały się słowa o „człowieku honoru” wypowiedziane przez Adama Michnika pod adresem Czesława Kiszczaka oraz jego wcześniejsza obrona Wojciecha Jaruzelskiego, ujęta w wulgarnej odzywce, adresowanej do dziennikarza „odp... się od generała”. Dla utrwalenia tych więzi buduje się dziś nową mitologię. Tak też można odczytać najnowszą książkę prof. Andrzeja Friszkego „Anatomia buntu”, w której współautorami transformacji ustrojowej, wręcz jej pozytywnymi bohaterami, stali się byli komuniści.

Dziwimy się Niemcom, że powoli, ale systematycznie przemieniają się ze sprawców wojny w jej ofiary. Ale my również robimy coś niedobrego, czyniąc polskich komunistów twórcami demokracji, obrońcami wolności i polskimi patriotami.

Słowa szefa IPN-u Janusza Kurtyki o tym, że postać generała Jaruzelskiego rozpatruje w kategoriach zdrajcy, nad którym został roztoczony sowiecki parasol ochronny, nie przebija się do świadomości Polaków tak długo, jak długo ludzie

odpowiedzialni za powojenną historię Polski, a szczególnie za ostatnie 20 lat, nie uwolnią się od dawnych związków z komuną i nie spojrzą prawdzie w oczy. Tego też należy życzyć Lechowi Wałęsie, który w pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim nadal widzi zdrajcę, a książkę Pawła Zyzaka o nim chce poddać całkowitemu zmieleniu.

**Wojciech Reszczyński**

„Nasza Polska” 23.03.10